NUMER 47. DNIA 22-go LISTOPADA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z dziejów kultury naszej.

(Brückner Aleksander: „Literatura religijna w Polsce średniowiecznej", skreślił... Tom I „Kazania i pieśni"; szkice literackie i obyczajowe. Warszawa. 1902. 8-ka, kt. nl. 2, str. 235 i 1 nlb.)

Dawniejsze prace niestrudzonego berlińskiego profesora, porozrzucane po pismach i wydawnictwach perjodycznych, posłużyły mu obecnie za podkład do omawianego dzieła. Nie jest ono bynajmniej, — mógłby kto sądzić, — prostym zlepkiem dawniejszych owych rozpraw. Jest ono natomiast zupełnie nowem, z nowymi szczegółami i wynikami, jeno opartem na tamtych pod względem omawianych w niem przedmiotów. Tem większa jest zasługa autora, że wyrzucił zupełnie z tej pracy balast naukowy i ciężkie cytaty łacińskie, co wcale nie ujęło dziełu naukowej wartości, a za to dało możność zapoznania się z pomnikami dawnego naszego piśmiennictwa szerszym kołom społeczeństwa. Obecnie nawet zawodowy badacz, mając tę książkę pod ręką, uniknie poszukiwań po czasopismach za drobnymi artykułami, otrzymuje ponadto wiele nowych spostrzeżeń i rezultatów, jakich tam nie było. Poza niezaprzeczoną wartością, jaką ma ta praca dla historji literatury, ma ona z pewnością wcale nie mniejszą tak dla historji kultury naszej, jak i dla etnografji. Prof. Brückner bowiem, jeden z nielicznych u nas gruntownych znawców folkloru, położył w tej pracy silny nacisk na obyczajową zawartość pomników piśmiennictwa, a stąd też wydobył całe mnóstwo niezwykle ciekawych przesądów i zabobonów, charakteryzujących wybornie ówczesną naszą umysłowość, dających ponadto możność stwierdzenia, iż siła zabobonu jest tak wielka, że nie zniszczą jej nawet długie stulecia, skoro, jak o tem można przekonać się, wiele z tych przesądów trwa do dzisiaj nieprzerwanie w ustach ludu, przechodząc tradycją z pokolenia na pokolenie.

Jak wiele ma do zawdzięczenia dzisiejsza nauka pierwszym naszym kaznodziejom i kazaniom, wygłoszonym przez nich, o tem można się przekonać zaraz z samego początku książki, kiedy to prof. Brückner nakreśliwszy drogę, na jakiej rozwinęło się u nas kaznodziejstwo w wieku XV, zajmuje się postacią Hieronima z Pragi, którego opowiadaniu zawdzięczamy arcyważny przyczynek do mitologji litewskiej, w dziele Eneasza Sylwiusza p. t. „De Europa". Dowiadujemy się stąd o kultach religijnych starożytnej Litwy, jakich było kilka: o kulcie węży domowych, świętego ognia (z którego wróżyli kapłani o wyzdrowieniu lub śmierci chorych), o kulcie słońca i lasów, poświęconych djabłom. Że relacja Hieronima jest wiarygodna, to potwierdza wiele faktów. I tak: z Gwagnina, Stryjkowskiego i Łasickiego wiemy, że cześć wężów była na Litwie powszechna jeszcze w drugiej połowie XVI stu-

lecia, wróżby z ognia są pospolite u ludów dzikich, mit znowu o zakuciu słońca przez jakieś potęgi i odkucia jego — jest najzwyczajniejszym mitem solarnym; również i o kulcie gajów wiemy wiele z Łasickiego i relacji Jezuitów, którzy działali między Łotyszami na początku XVII wieku.

Ale relacja ta jest niczem w porównaniu z niesłychanem bogactwem szczegółów obyczajowych, jakie zawierają kazania. Naturalnie w korzystaniu z nich trzeba postępować bardzo ostrożnie z dwu powodów. Nieraz bowiem kaznodzieja podawał fakta, jakie tylko w obcych krajach mogły mieć zastosowanie, lub też umniejszał prawdziwość faktu zbyt jaskrawem koloryzowaniem jego. Najgorliwiej walczyli księża przeciwko pogaństwu, t. j. przeciw resztkom bałwochwalstwa. Tyle zaś jest tych przesądów, że można je nawet uszeregować podług świąt kalendarzowych. I tak: w wilję Bożego Narodzenia nie wypożycza się ognia, bo szczęście opuściłoby dom, uważa się, aby pierwszy gość był czysto ubrany i miał w życiu szczęście, resztki wieczerzy wigilijnej wysiewa się, bo z nich obrodzi się n. p. pietruszka w ogrodzie. Na Nowy Rok gromadzki pastuch rozdaje pręty, których nie należy brać gołą ręką; tymi prętami wypędzają potem bydło po raz pierwszy w pole. Na M. B. Gromniczną wypalają gromnicami sierść na karku krowom, aby dobrze się chowały, aby nie uległy czarom i nie poniosły szkody od psa wściekłego. Na Popielec wróżą z soli, kto prędzej umrze. W Wielki Czwartek zostawia się na noc resztki wieczerzy dla dusz zmarłych; w Wielką Sobotę chowano święcone głównie, jako lekarstwo dla bydła; w niedzielę wielkanocną obchodzono z krzyżem pola, aby je uchronić od gradu. Dowiadujemy się też wiele o t. zw. „dyngusie“, o tem, że w dnie krzyżowe zbierano trawę dla czarów z tego miejsca, na którem stawała procesja, że w noc przed św. Janem Chrzcicielem czuwano, aby uniknąć przez cały rok bolu oczu, obwiązywano głowę bylicą, aby uchronić się od bolu głowy, że wreszcie używano ziół święconych na Wniebowzięcie Matki Boskiej, do leczenia bydła, kadzenie niemi podczas burzy itd.

Z przesądów, przywiązanych do dni tygodniowych wymieniam: poniedziałek, jako dzień feralny, i piątek, w który nie wydaje się ognia z domu. Zważano nadto na pewne godziny dnia przy kupnach, zawieraniu ślubów i zbieraniu ziół. Po zachodzie słońca nie można sprzedawać mleka, aby nie zaszkodzić bydłu. Na nowiu modlono się, aby uchronić się od bolu głowy. (Oba ostatnie zwyczaje zachowały się do dzisiaj). Gdy na wiosnę wychodzono po raz pierwszy z pługiem na rolę, obwieszano wołom rogi rozmaitemi rzeczami i obsypywano je chmielem, aby urodzaj był obfity, a i do wysiewanego zboża dodawano poświęconego na Popielec popiołu.

FELIKS GWIŻDŻ.

Jesienną nocą.

W mrocznej izbie siedzę sam... Tak ciemno dokoła mnie...

Za oknami huczy wicher roznośnie i smutno, dudni nawałnica. Jakiś lęk i trwoga mnie ogarnia. Zbliżam się do okna — na polu ciemno, jak w podziemnych piwnicach, w których ukryte są zbójnickie talary...

Hej!..
Jescek nie zbójowoł, dopiérok prógowoł,
Z bucka na jedlicke w lesie przeskakowoł.
Jescek nie zbójowoł, ino jedén rocek —
Juz mi zgotowili na Orawie hocek...

Możeby i tak było...

Możebym dziś, trawiony smutkiem i boleścią i posępny, jako ten wiatr za oknami płaczący — możebym tak nie siedział w izbie, jeno hań!.. gdzieś we wirchach, w siumnych roztokach, albo we wieży, na orawskim zamku, razem ze zbójnikami. Możebyśmy dziś kerdlem szli na Luptowską stronę, lebo do Mikułasza — zapalili ognie... pożar... krzyk... płacz... a my nic, ino się zwijamy, a co najlepsze, to bierzemy.

Hej!..
Płakali ojcowie, płakali synowie,
Kie sie nasi posli pobawić w Luptowie...

Również liczne są przesądy, tyczące się pewnych faz życia, zajęć i stanów. W czasie wesela wróżono o płodności małżeństwa, o płci dzieci itp. Ci, którzy stawiali dom lub przenosili się z jednego mieszkania do drugiego starali się w rozmaity sposób dowiedzieć się, jak im się będzie powodzić? Kupna nie należy dokonywać gołą ręką, to też przy umowach podawano sobie ręce przez sukmanę. Rybacy i strzelcy okadzali się święconem zielem przed wyjściem na łowy. Karczmarze również używali guseł, aby prędzej wyszynkować napój i gości zwabić do siebie. Materjału do tych guseł dostarczały im czarownice.

Najliczniejsze były przesądy i gusła lecznicze przeciwko urokom i czarom. Leczono zatem choroby ludzkie i zwierzęce zażegnywaniem we wszystkich formach, jakie obecnie wśród ludu istnieją. Nie mniej noszono amulety, jako środek ochronny przed urokami i chorobami, wiara zaś w sny była powszechna. Ogromna też była ilość wierzeń, tyczących się widoku lub spotkaniu ludzi, zwierząt i ptaków, równie jak dzisiaj, i to nie tylko wśród ludu.

Nie można naturalnie ani przez chwilę myśleć, jakoby n. p. obrzędy i zwyczaje naszego ludu, związane z świętami lub pewnemi porami roku, były rodzime. Przybyły one z Zachodu i Południa dopiero z chrześcijaństwem, tylko tak silnie zrosły się z ludem, że trudno je odróżnić od pierwotnych. Tak samo ma się rzecz z amuletami, odczynianiem uroku i wiarą w czary i czarownice. Wcale jednakże nie można przeczyć, iż już w pogaństwie istniał pewien zapas skłonności i wierzeń, który ułatwiał późniejsze przyjęcie zabobonnego i obrzędowego materjału, jaki w obcych krajach przyplątał się do obrzędów chrześcijańskich.

Wielki wpływ wywierało też kaznodziejstwo na tradycję ludową, odgrywając w XV-XVII wieku niemałą rolę w historji wędrówek powieści. To n. p., co u nas opowiadano o Stańczyku i Twardowskim, powstało daleko wcześniej na Zachodzie i dopiero z czasem ugrupowało się około swojskich postaci. Z kazań zaczerpnął niekiedy lud nawet nazwy dla demonicznych postaci własnej wyobraźni. Nazwa n. p. „płanetników mogła obić się o uszy ludu w kazaniu na Trzech Króli, gdzie mowa o badaniu planet. Nazwy znowu: „swamuna" i „smołka" (djabeł) powstały z Mamony, ducha skąpstwa, i Asmodeusza, ducha rozpusty, powtarzających się gęsto w kazaniach średniowiecznych. Ale to tylko drobne szczegóły.

Pozatem zawdzięcza lud kaznodziejstwu pewien zapas legend, anegdot i podań. Tak n. p. bajka ludowa o uporze kobiety, którą to bajkę obrobił Mickiewicz w „Golono-strzyżono" i w „Żonie upartej", odnajdujemy już w kazaniu Jakuba z XIII wieku. Wogóle tak z naszej, jak niemniej z obcej literatury, dostało się wiele bajek za po-

---

Zamykali zamki, zasuwali rygle,
Kie my se knajali*) popod bystre regle.

To było tak, jak wczoraj, jak dziś...

Ludziska zaczynają już zapominać o tem — ino we mnie wre, huczy i szaleje to wielkie, zbójnickie, orle życie... Muszę im zbaczyć te dobre czasy.

Hej!..
Zadudniały góry,
Zasumiały lasy —
Hej!..
Kaz sie popodziały
Nase dobre casy?

Umarły. Ludzie zabili sami te dobre czasy. I dlatego żałość ogromna łzawi me serce. Bo jakże jest dziś tu, gdzie drzewiej szumiały ino bory i bory, huczały srebrne potoki (w nich złoto się czyściło), tętniły mocą bogów — turnie? Jakże jest? Nic... jeno pustki i pustki, ugory i tłoki... A drzewiej — hej!.. kiedy sobie taki Janko z Brzeziawicki wyszedł na wirch i zaśpiewał:

Janosik, Janosik,
Pedziołbyk ci cosik —
W Giewoncie jest cosi...
W Giewoncie śpi ktosi...

To mu zaraz Giewont oddudniał:

Hej! nie śpiewoj, nie śpiewoj, bo lasy słuchajom.

*) Knajali = lecieli.

średnictwem ambony do ludu, tak samo też wiele legend moralizatorsko-pobożnych, nie mówię już o anegdotach, i apokryfach jakiemi przesadna pobożność ukraszała kazania.

Na tem kończy się obyczajowa część książki prof. Brücknera, za którą każdy miłośnik rzeczy ojczystych powinien czuć wdzięczność. Rozświetla ona wiele zajmujących, a dotąd nietkniętych skalpelem nauki faktów, rozwiązując je pod każdym względem trafnie i szczęśliwie, a w niejednem może dać bodźca do dalszych badań i poszukiwań.

Dr. St. Zdziarski.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(21)

Szkuta nieustannie tańczyła, podnoszona gwałtownie grzbietami, walących się pod nią wodospadów. Trzeba było wiele zręczności i uwagi, aby ją w równowadze utrzymać. Nadomiar wiatr z góry i z dołu prał przeziębłych robotników, obrzucając ich żwirem i wodną kurzawą. Rozpalili więc ognisko ze znalezionych w szczelinach badyli i grzali kolejno zgrabiałe członki, podczas gdy inni, czepiając się złomów i brocząc krwią z poranionych nóg i rąk, pomagali czółenku ze sznurem opłynąć dokoła „byka“. Dwa razy zbliżało się ono do strasznego cypla i dwukrotnie je woda i wiatr odrzucały nazad. Czółenkiem kierował Obuch, a Indor siedział w tyle i ciągnął pólkę. Koźma, dla przyczyn jemu tylko wiadomych, został na szkucie, zapewne, aby ratować ją w razie, gdyby oberwały się cumy. Widząc jednak niepowodzenie Obucha stary wioślarz zmienił zdanie:

— Nie przepłyniecie! Hej, wracajcie!.. Niech Obuch idzie do szkuty!.. Przewiozę was! — krzyczał, siląc się zagłuszyć ryk wody, ale Indor tylko mu się grzecznie kapeluszem kłaniał. Znów czółenko zbliżyło się do fatalnej skały: Obuch niespokojnie wiosłował, pochylony naprzód. Indor robił pożegnalne gesta, stateczek jak łupina osu-

---

Przydzie ku nim wiater, sycko wygodajom... Dziś ci rzadko człek odśpiewa, nie to Boże*), Giewont albo i inna góra. Wtedy wszystko gwarzyło ze sobą: człek rozumiał górę, góra człeka. Dziśby mnie wzięli za warjata, gdybym rozmawiał z wichrem — a jednak... Słyszę, jak płacze, zawodzi, rozpacza — rozumiem go. I on żałuje zbójnickich czasów. I jemu żal, tak bardzo żal tych krwawych łun i zgliszcz, z któremi się pieścił — w czarne jesienne noce, albo w któreś słoneczne rano...

Dziś ludzie większymi zbójami, niż ci dawniejsi, prawdziwi zbójnicy. Czemu? Dużoby śpiewać... dużo opowiadać... Mnie wyśpiewał cały poemat o dawnych zbójnikach i o dzisiejszych łotrach — wicher, smutny, jesienny wicher, jesienną nocą tułając się popod okna mojej małej, mrocznej, góralskiej izby. Wszystko mi opowiedział, wszystko pokazał. To dawno było... Przypominam sobie...

...U moich okien jawią się harni gazdowie, z kostkami na kapeluszach, z ciupagami w ręku, w szerokich pasach i krzyczą: Tyś naski!

— Tak... tak... Ja wasz, na wieki wasz. — Ani mię piorun nie zabije obcy, ani mię obcy nie zmorzy głód — ino ten naski, ten sino-blady, bom wasz, moiściewy dawni gazdowie i harni zbójnicy...

I jęli dzwonić ciupagami, aż hyr się poniósł ku Tatrom, odbił się i utonął gdzieś w sinych głębiach północnych oceanów.

— Pójdziesz?! — wołają mnie.

*) Nie to Boże = a cóż dopiero...

wał się chybotliwie z bałwana na bałwan. W tem znikł za zakrętem, lecz rychło ukazał się, mknąc na strzał rzeki, wywrócony do góry dnem. Nikt nawet nie krzyknął. Holownicy na brzegu i na łodzi też się nie ozwali. Wszyscy jakby skamienieli. Pierwszy Koźma wrzasnął z pokładu:

— Łapaj, łapaj!.. Dawaj!.. Sznur!.. Tutaj... Obuch!..

Naówczas spostrzegli głowę ludzką, nurzającą się śród wirów. Cumy nagle drgnęły i ludzie oszołomieni byliby może puścili statek na pewne rozbicie, gdyby Guran nie zagrzmiał jak piorun:

— Hej! wy tam na brzegu... pilnować cum! Napiąć sznury!..

Obucha wydobyto, ale Indor popłynął za wielu innymi, z twarzą zwróconą na dół.

Damian udał się natychmiast „kozim łazem" do miasteczka po łódź i ludzi. Oryle przesiedzieli noc u ogniska, nie śpiąc i nie jedząc, gdyż nie śmieli cum zaczepić o skały w obawie, żeby ich nie przetarło kołysanie.

Karski żałował, że żony z dzieckiem nie przewiózł na ląd. Od czasu do czasu pani Anna ukazywała się z Olesiem na mostku sternika w połysku ognia, bijącego od stosu na skalne złomy, na spienione wody i utkwioną wśród nich szkutę. Ryk porogu nie pozwalał im rozmawiać. Dawała jedynie znaki, że się nie boi i prosiła, by nie troszczyli się o nią.

Przed świtem wiatr, zgodnie z przepowiednią Gurana, ucichł. Z za czarnej skały, w perłowym rozbrzasku rzeki, ukazała się łódź z ludźmi i strażnikiem. Linkę pólki przy ich pomocy zaniesiono bez trudu i szkuta wypłynęła szczęśliwie z porogów.

Na wysokim brzegu rozłożystej doliny zabielała nareszcie przed wędrowcami zasobna ludzka osada. Las dymów, różowych od zorzy, wił się nad nią, a w licznych oknach tu i ówdzie skrzyły się już blade blaski dnia.

Gdyby nie cień Indora, który szedł za nimi, oryle kres swych wysiłków powitaliby napewno pieśnią. Obecnie szli w skupieniu, bezwiednie przyspieszając kroku. Karskiego nie było z nimi; nie był już im potrzebny; zbierał więc i pakował rzeczy.

— Nareszcie, nareszcie!.. — powtarzali małżonkowie z tem samem uczuciem, z jakiem mówili ten wyraz, wyruszając ze swojej sadyby, a następnie z Jakucka

Ale i w Maczy parostatku nie zastali.

— Może będzie dziś, może jutro... a może wcale nie przyjdzie!... Wszystko zależy od stanu wody w górze rzeki... — objaśniano ich w pasażerskiej budce na przystani.

Nie było rady, musieli z kuframi i całym bagażem windować się na górę do osady, gdyż na brzegu nie mieli ich gdzie zostawić. Jakaś ka-

---

— Pójdę, na koniec świata pójdę z wami, bo was strasznie rad widzę; nikto was tak szczerze nie miłuje — a ten... ten... w pańskiem ubraniu to kto?!.. Rycerz uherski?!..

— Naski!.. On naski!.. Z nim idziemy ratować Polskę! — krzyczą tłumnie moi rodzeni bracia.

...To on... Napierski — rycerz skalny, król orłów... Hej! jawisz mi się, ty wielki bojowniku, w każdą nockę, w każdy wieczór do ciebie się modlę — boś też naski, boś nas rad widział, a nie ino nas, ale wszystkich pokrzywdzonych... Wstańże! wstań - zali cię boleść jaka przygnietła?

A wicher mi przynosi jakąś dawną i smutną piosenkę:

Hej!..
Ani ci mie smutek,
Ni boleść przygnietła...
Ino, że tak iść muszę,
Jakby pośród piekła...

I wszystko znika...

I wszystko przepada gdzieś w ciemnych jaskiniach i tajniach — jeno ja zostaję sam z mym wielkim smutkiem i z żałobną tęsknotą.

Za oknami huczy wicher roznośnie i smutno, dudni nawałnica. Jakiś lęk i trwoga mnie ogarnia...

rykatura dorożki, zaprzężona w zabiedzonego, kulawego konia, powiozła ich do „hotelu“.

— Tani, ale dobry!... Upewniam... — jak mi Bóg miły! — powtarzał dorożkarz z czerwonym nosem.

„Hotel“ okazał się przestronną chałupą sybirską, której połowa zwieszała się nad krawędzią urwiska i była z dołu podparta wrytymi w zbocza palami. Karski mimowoli przypomniał sobie owe bajeczne „potrzaski“ witymskie, o których opowiadano, że gość za pociśnięciem klapy wprost z pościeli staczał się do Leny. Przemógł jednak w sobie tę odrazę i wszedł do wnętrza. W obszernej izbie, służącej za korytarz i przedpokój, spali ludzie pod ścianami, na ławach. Na wezwanie wyszła z głębi kobiecina czarno ubrana z żółtą okrągłą twarzą i bielmem na oku.

— Pokój?.. Owszem... owszem... jest!..

Pokazała im pokoik znośny i powiedziała umiarkowaną cenę.

— Będzie państwu dobrze; mój dom cichy, spokojny... Stają sami znajomi... Państwo z dziećmi? Wiem, wiem, co to dziecko w drodze, sama mam córeczkę... Zaraz dostarczę świeżego mleka... czy państwo na długo?..

- Do parostatku!...

— A!.. Rozumiem, ale on może i wcale nie przyjdzie!.. Tem lepiej... Chętnie państwa przez zimę zatrzymam... O zajęcie będzie panu łatwo, skoro pan piśmienny... Postaramy się!

Dorożkarz bez pytania zniósł rzeczy do korytarza i zażądał za przewóz rubla.

— My tu wolni! Tu tajga!.. Tu bez sporów trzeba płacić, co mówią! Taksy nie ma! — dowodził stanowczo na uwagę Karskiego, że to za drogo za tak mały przejazd.

Karski westchnął i zapłacił. Pocieszał się, że potrwa to przecie niedługo. W ostatecznym razie gotów był spieniężyć część rzeczy i wyruszyć pocztą.

Tymczasem po herbacie żona posłała go na miasto załatwić sprawunki, dowiedzieć się coś stanowczego o parostatku i kupić sobie rewolwer.

— A obejrzyj też na wszelki wypadek „hotele“, może znajdziesz gdzie przyzwoitszy.

(Dok. nast.)

Granice Galicji i Bukowiny.

Wydana świeżo w Czerniowcach książka prof. dr. Kaindla p. t. „Geschichte der Bukowina von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart“ przynosi między innemi także ciekawą wiadomość o pierwotnej granicy Polski i Bukowiny, położonej przez Kazimierza Wielkiego przy zajęciu Rusi. W myśl wywodów prof. Kaindla dawna granica ciągnęła się przez las, zwany „Bukowina“ między Prutem a Seretem, dalej górami między źródłami tej rzeki, a potokiem Putyłówka. Do Polski należała nietylko część obszaru dzisiejszej Bukowiny od Dniestru aż na południe Prutu, ale także okręg, obejmujący w przybliżeniu dzisiejsze starostwo wiżnickie. Zamek Cecyna koło Czerniowiec zbudował Kazimierz Wielki, a miejscowości Szypyńce, Waszkowce, Wołoka, Ispas, Karapczin, Wiławcze, Wiżnica, Roztoki i Putila należały do Polski. W XVIII. wieku jeszcze była tradycja tego dawnego przebiegu granicy.

Fakt ten, podany przez prof. Kaindla ciekawy jest o tyle, że potwierdza dawne wyniki badań polskich uczonych. Pierwszy zwrócił uwagę na pierwotną granicę A. Morgenbesser w pracy „Polska i Multany“ (Przew. nauk. liter. w 1874 t. II.), uzasadnił ją zaś źródłowo i hipotetycznie dr. Aleksander Czołowski, w rozprawie p, t. „Początki Mołdawji i wyprawa Kazimierza Wielkiego r. 1359“ (Lwów 1890). Czytamy tam, że zabór Kazimierza Wielkiego, objąwszy zadniestrzańskie Pokucie, zaraz w pierwszej chwili musiał się oprzeć z tej strony o jakąś granicę naturalną. Granicę taką tworzyły tutaj nie rzeki, lecz ściana olbrzymiej puszczy leśnej, pokrywają-

cej podgórze karpackie, owe „płoniny“, które już w wieku XIV. zwano „wielką Bukowiną“. Na północ od niej po Dniestr rozciągał się niewielki powiat szepiniecki i dwa grody warowne Cecyna i Chocim: pierwszy na wstępie do borów zdradliwej puszczy, drugi nad Dniestrem od strony naddniestrzańskich stepów. Według twierdzenia posłów polskich na sejmie Piotrkowskim 1448 r. oba te grody miał zbudować Kazimierz Wielki, co także silnie przemawia za przypuszczeniem, że ziemia ta należała wówczas do Polski.

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI.

PRZED ZIMĄ.

Z pożółkłych drzew listek po listku pada
i pada, jeden po drugim, jak z poszycia
krople kryształne w czasie słoty,
jak owe łzy z rzęs sieroty,
gdy idzie popłakać do sąsiada,
że tatuś leży już bez życia...

Po listku listek pada
i pada z monotonnym zgrzytem
o łoża zmarłych świeżo braci
w przedśmiertnych kurczach się ociera,
westchnieniem cichem, wydobytem
z ostatnich życia drgnień, zanim straci
świadomość bolu, —
popiołom ziemi się spowiada...

Po listku listek pada
i... umiera...
Wiatr w pustem polu
płacze
wieczorną dobą
i zwiędłe liście przed sobą
pędzi na życie, na tułacze,
na ból w śniegowe zawieje,
na poniewierkę w zimowej zawierusze...

. . . .

Takie koleje,
zda się, przechodzą zmarłych dusze...

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Stanisław Witkiewicz: *„Aleksander Gierymski“ — Lwów, Tow. Wydawn. 1903.* Kto zna choćby potroszę działalność obu ludzi wymienionych w tytule książki, jednego jako jej autora, a drugiego jako bohatera, ten niewątpliwie chwyci ją skwapliwie do ręki. Witkiewicz o Gierymskim, to nie tylko malarz o malarzu, ale człowiek wysoce uświadomiony co do zadań sztuki o drugim człowieku, który przez ciernie i złomy życiowe równie świadomie dążył do ich zrealizowania i dobry psycholog, przedstawiający dokumenta psychologiczne wysoce skomplikowanej nawskróś artystycznej organizacji duchowej. Z takiej komplikacji musiało wyjść coś nadzwyczajnego i wyszło też istotnie. Książka Witkiewicza o Gierymskim to nietylko jedna z najlepszych monografji artystycznych na świecie, ale chaos rysów charakterystycznych, wypadków, uczuć, myśli, prądów, aspiracji, zapatrywań, z którego wychyla się wspaniała postać współczesnego artysty. Witkiewicz nie dzieli swego przedmiotu na jakieś części bjograficzne, estetyczne, krytyczne. Tu, zaczynając od dzieła i jego znaczenia wpada w opis wypadków z życia związanych z jego treścią, tam opowiadając wypadki, cytując jakiś list Gierymskiego lub jego odezwanie się, poddaje krytyce estetycznej dzieło, które z tem ma jakiś związek, indziej przedstawia żywo teren, na którym działy się wypadki, a przy tej sposobności rozwija swoje i drugich zapatrywania na sztukę itd. itd., snuje przędzę opowiadania tego, co wie o Aleksandrze Gierymskim, i co o tem sądzi. Nie ma on też, a przynajmniej mało ma tego, co dałoby się nazwać „niewolą szematu“. Nie skonstruował on sobie, jak to zwykle bywa, w monografjach artystycznych obwałowania psychologicznego, któreby potem ubierał szczegółami, bądź to naciągając je do założenia, bądź też wyrzucając, co by mu do tego nie przystawało. Zdaje się, jakby mu się ta postać, którą znał z dokumentów i autopsji tłumaczyła wewnętrznie podczas pisania. Kilka rysów podstawowych charakteru Gierymskiego, kilka określeń jego aspiracji

ostatecznych, oto wszystko, co mówi o nim ogólnie. Poza tem są to opisy i tłumaczenia wypadków, tak szczegółowe i sumienne, że widzi się nietylko rezultaty tej pracy, z której złożyła się postać Gierymskiego, ale cały jej przebieg w umyśle Witkiewicza. To też, gdy w trakcie czytania, coraz to bardziej zbliża się i zwyraźnia męczeńska fizjognomja jednego z największych przedstawicieli nowożytnej sztuki polskiej, czytelnik, mający kontrolę nad tem zwyraźnianiem, zyskuje także na wierze w jej prawdziwość. Barwność i plastyka nadaje jeszcze obrazowi to, że Witkiewicz znał wszystko, o czem opowiada, z własnego patrzenia, słyszenia i odczucia. Dzięki temu także, brzmi w całej książce ta nuta osobistego stosunku, która ją czyni obok innych wyżej wymienionych zalet nadzwyczajnie wzruszającą.

St. W.

PISMA. *Biblioteka warszawska* w bardzo obfitym, co do treści, zeszycie za listopad, podaje rozprawkę historyczną dra Adama Skałkowskiego pt. „Początki Jana Henryka Dąbrowskiego“. Jest to o ile wiadomo, część tylko większej książki, niebawem wydać się mającej o Henryku Dąbrowskim, a rozpatruje w niej autor stanowisko Dąbrowskiego w obec dzieła sejmu grodzieńskiego, mylne, źle obliczone, ale nigdzie w treści i intencji, ani występne, ani karygodne, które jednak temu wodzowi Legjonów na długie czasy spowodowało miano „zdrajcy“. W r. 1896, powiada autor, ucichli nareszcie nawet najzuchwalsi z potwarców, ale przecież i później chociaż mniej widocznie, przesuwają się gorzkie wspomnienia r. 1793, gdzieś oddalonem echem grzmią zawsze ilekroć stary żołnierz zepchnięty zostaje na plan dalszy, przez mniej godnych i mniej zasłużonych, odbijają się aż o ściany cichego dworku winnogórskiego i jeszcze nad trumną Dąbrowskiego odezwą się przez usta „przyjaciela“.

NOTATKI. *Pomoc naukowa Dra Marcinkowskiego.* W jednym z ostatnich numerów „Kurjera Poznańskiego“ podaje Władysław hr. Łącki, kilka nowych szczegółów o powstaniu „Pomocy naukowej“ dra Marcinkowskiego w Poznaniu. Rzecz cała wyszła ze słusznego zapatrywania, że największym błędem ustroju Polski był brak stanu średniego. Po powstaniu r. 1831 podał dr. Marcinkowski myśl, aby utworzyć towarzystwo w celu kształcenia młodych naszych ludzi na kupców. Pierwszymi doradcami dr. Marcinkowskiego byli właściciel ziemski Szułdryński, a szczególnie urzędnik ziemstwa kredytowego Mendych. Z początku dawano zapomogi młodym ludziom, aby się kształcili i zakładali handle, potem zaś, dzięki sprzyjającym okolicznościom i darowiźnie domu przez hr. Łąckiego, wybudowano duży gmach „Bazar“, w którym znajdować się miały handle polskie. Przedsiębiorstwo rozłożone na akcje, które patrjotyczni obywatele oddawali często napowrót do towarzystwa „Pomocy naukowej“, powstało w r. 1838 i dziś stanowi jeden z najpiękniejszych faktów naszej obrony narodowej.

Upadek książki. W kilku jednocześnie krajach Europy prasa stwierdziła fakt zmniejszenia się rozprzedaży książek. W Niemczech i we Francji za pomocą wywiadów w sferze interesowanej zebrano wiązankę przyczyn, które mają tłumaczyć ów upadek. Znajdują się między niemi najrozmaitsze, a do nich dodaje p. S. w „Prawdzie“ jeszcze dwie następujące:

Wiadomo, że „gospodarstwo domowe“ stanowiło pierwotnie zlepek najrozmaitszych czynników życia: nietylko dzieje, ale nawet starsze śród nas pokolenia pamiętają czas, kiedy ono było nietylko domem rodzinnym, ale także szkołą, przędzalnią, tkalnią, browarem, pracownią krawiecką, warstatem stolarskim itd. Powoli rozwój ekonomiczny oderwał je od ognisk rodzinnych i złączył w osobne gałęzie przemysłu.

Otóż nie ulega wątpliwości, że bibljoteki prywatne są także przeżytkiem, skazanym na zagładę i że prędzej czy później muszą ustąpić miejsca publicznym.

Tylko ludzie wyjątkowej zamożności mogą kupować wszystko, co pragnęliby przeczytać, a najbardziej pożądanem byłoby takie położenie, w którem każdy mógłby dostać łatwo z bibljoteki publicznej na pewien czas potrzebną mu książkę. Tak też poniekąd już jest w społeczeństwach z szeroką oświatą. Niejeden z nas dziwi się ogromnie, odwiedziwszy jakiegoś uczonego Niemca i nie spostrzegłszy w jego gabinecie olbrzymiego księgozbioru, tylko małą szafkę z niezbędnymi podręcznikami. Na co mu to, kiedy on może korzystać bez ograniczenia z bogatej bibljoteki publicznej? A nie znajduje się ona jedynie przy wyższych instytucjach naukowych i w wielkich miastach, lecz przy każdej gminie, stowarzyszeniu i instytucji społecznej. Dlatego to nakładcy niemieccy — o ile nie wydają książek zaspakajających ciekawość mas i służących do ciągłego użytku (słowniki, encyklopedje, gramatyki i t. p.) — stosują ilość egzemplarzy do ilości bibljotek i czytelń, kupujących nowości. Skoro zaś w jakimś kraju sieć tych ostatnich rozpostrze się szeroko — co nastąpiło już dawniej w Niemczech a dokonywa się obecnie we Francji — rozprzedaż książek musi uledz zmniejszeniu.

Ale potrzeby ciekawości i duchowego zadowolenia, podtrzymujące rozkup prywatny, zapewne będą nadal. Tu wszakże wystąpiła inna przyczyna osłabiająca. Żyjemy w epoce przeżuwania pomysłów dawnych, przenicowywania i przerabiania rzeczy starych, mechanicznej niemal fabrykacji powszedniości.

Dziś Europa rozmienia w literaturze na drobną monetę spadek odziedziczony po przeszłości, źródło jej świeżych natchnień i prawd jest płytkie — więc książka straciła dla niej powab.

Obie wskazane przyczyny nie są jedyne, ale są bezsprzecznie bardzo wpływowe. U nas naturalnie działa przedewszystkiem druga. Że tak jest, dowodem wielki rozkup utworów istotnej oryginalności. Na Sienkiewiczu, Żeromskim, Sieroszewskim, Przybyszewskim, wydawcy nasi robią doskonałe interesy i w obrębie tych talentów wcale nie skarżą się na „upadek ruchu“. A jeżeli londyński nakładca świeżo wydanego, Morleyowskiego życiorysu Gladstona mógł zapłacić autorowi 100.000 rubli, wyłożyć na koszta blisko trzy miljony i sprzedać w ciągu tygodnia 200.000 egzemplarzy, to oczywiście książki są kupowane. Tylko trzeba, żeby je pisali Morleye.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.